Rok II. Kraków, dnia 20 Stycznia 1882 r. Nr. 2.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W. Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

† **Stanisław Lipiński**, znakomity artysta-rzeźbiarz, żołnierz z r. 1863 zmarł dnia 5-go Stycznia. Obszerny życiorys zmarłego wraz z portretem i rysunkiem jego najwybitniejszego utworu pomieścimy w przyszłym numerze „Przeglądu.“

WOJCIECH ZAPAŁA

NOWELLA

Marji Konopnickiej.

odznaczona nagrodą na konkursie warszawskim.

Kiedym poznał Wojciecha Zapałę, był on już dobrze posunięty w lata, wyschły jak trzaska, pożółkły jako liść jesienny, a taką przez łeb miał szramę, że choć czwórką po niej zawracaj.

Prosto się jednak trzymał jeszcze stary, a jego szczotkowate, w górę sterczące wąsy dodawały mu marsowatej miny.

Równego z nim wieku zdawała się być i kurta jego zielona, zarywająca na mundur strzelecki, mocno już spłowiała, ale twarda widać do zgryzienia, jako i jej pan.

Mieszkał Zapała pod lasem; w chatynce nędznej, na piaski rzuconej, z dachem roztrzęsionym, zczerniałym, czesanym przez wszystkie cztery wiatry, hulające po nim zawieruchą jesienną, albo zimową zamiecią; — z kalennicą zaklęsłą, z bokiem jednym, z węgła ruszonym, drugim w ziemię idącym; z drzwiami, licho wie jak trzymającemi się jeszcze odźwierku — ot, w pustce ciężkiej i tyle.

Prócz wróbli pod strzechą, tulił przy sobie Zapała w chacie owej drobnego chłopczynę, sierotę co go niegdyś wiosną zgubiły bociany we wsi, lecące na łąki, na zielone. Poterało się mizeractwo to tu, to tam, popychane, szturchane, niewiedzące kędy się dziać, a prócz sińców na grzbiecie, mające tylko jedną koszulinę czarną, jako święta ziemia.

Płaczącego z głodu i chłodu przydybał kiedyś chłopca stary pod lasem, popatrzał, splunął, wąsy najeżył, potem go na ręce wziął, kożuchem okrył, do chaty zaniósł, okrajcem chleba utulił — i na ławie, kędy sam legiwał — uśpił. Odtąd się już nie rozłączali.

Jako przy pniu dębowym odrostek wiosenny, tak Antek tkwił przy Wojciechu.

I dobrze im było razem; tylko w miarę, jak chłopak podrastał, i łyżką kartofli najeść się już nie mógł — stary pasa przyciągał, aby im obu wystarczyło.

Wiosennym wczesnym porankiem już słychać było głos starego Zapały. «Dalej, chłopcze, marsz! A coś ty, baba. żebyś nie wiedział, jak żołnierz chodzić powinien? Prawa noga naprzód!.. Nie ta... a czy skaranie Boskie... toć że ta, druga! Uszy do góry! brzuch w siebie! a! że też ty chłopak nijakiego rychtunku nie masz!»..

A «żołnierz» w koszulinie tymczasem, drepcąc obok starego, wystawiał nogi bose, brudne, cienkie jak badyle — i pod-

---

KRONIKA.

Od jednego z naszych «najznakomitszych» weterynarzy otrzymała Redakcja «Przeglądu» list następujący:

«Niezmiernie ucieszyła mnie wasza ostatnia «kronika. Nikt jeszcze nie zdobył się na «tak treściwe zestawienie dziejów ostatniego «roku i nikt lepiej nie ocenił ich znaczenia. «Inni ratują się dyalektyką — wy jedni kierujecie się rozumem.....»

Najznakomitszy weterynarz wiele jeszcze innych ładnych rzeczy powiedział, zwłaszcza o Cyrusie, ale ponieważ propria laus sordet, co po polsku się tłomaczy: świadczy się cygan swojemi dziećmi, przeto ograniczam się na przytoczeniu wyjątku z jego listu i przechodzę do porządku dziennego.

Na porządku dziennym stoi a raczej siedzi w kozie ks. Napoleon. Pomimo, że uwięzienie jego prawdziwą przykrość mi uczyniło, nie mogę się jednak oprzeć radości, jaką we mnie wzbudziły dalsze tego faktu następstwa. Jeżeli wniosek wypędzenia członków rodzin panujących dawniej we Francji otrzyma większość, to przypuszczać należy, że zkuzynowani z nami Burbonowie nie omieszkają nawiedzić Krakowa. Na samą tę myśl serce rośnie jak baba wielkanocna. Wyobraźcie sobie tylko czytelnicy, że na balu mickiewiczowskim widzicie w pierwszej parze postępującego Burbona, wchodzicie do Redolfiego lub Rehmana i ocieracie się o Burbonową, na ślizgawce podajecie swą dłoń upadającej Burbonównie, a na linji A—B prosicie o ogień dorastającego Burbonika. Nie ulega wątpliwości, że hrabiego Chamborda zrobimy prezesem koła literackiego, a hrabiemu Paryża ofiarujemy krzesło w radzie miejskiej.....

Zanim jednak to nastąpi, radbym wiedzieć, jaki zachodził związek między zamknięciem kościoła ojców Societatis Jesu we Lwowie, a zamknięciem cukierni Grossmana w Krakowie. Naprożno oczekiwałem wyjaśniających plakatów, które mogłyby położyć koniec ogolnemu zaniepokojeniu. Mówiono mi, że ojcowie Jezuici są wielcy ludzie, a pan Grossman już z samego nazwiska jest takim, przeto posądzenie pierwszych o knowania socjalistyczne pociągnęło za sobą zamknięcie cukierni tego ostatniego. Wprawdzie *socialitas* i *societas*, *socius* i *socialis*, mają podobne brzmienie i znaczenie zarazem, wprawdzie widziałem raz dwóch ojców Jezuitów przechodzących koło cukierni Gros

nosił konopiastą głowinę wysoko, sądząc słusznie, że i uszy z nią pójdą do góry; z brzuchem tylko jakoś nigdy do ładu dojść nie mógł. Odęty, wielki, sterczał on uparcie z pod chudych żeber i tuż pod piersiami z za koszuliny wyglądał.

Czas jakiś maszerowali w milczeniu. Strwożone żaby w desperackich skokach pierzchały z pod nóg Wojciecha, chroniąc się w bruzdy, w kępy wilgotne, a w ciszy porannej dzwoniącej pieśnią skowronka, słychać było daleko, szeroko, ciężkie stąpanie starego wiarusa.

Aż naraz, precz dalej maszerując, odzywał się Wojciech:

— Uważasz, chłopcze, przed nami idzie dobosz i bębni, aż w niebie słychać! A dalej trębacze złociste na trąbach grają — a tu z boku nasz kapitan — ej, dziarska u niego mina! a za nami wali piechota, jak morze. A tu adjutanty polatują, jak ptaki, ino wiatr furczy, a jenerały aż kapią od złota; a tam, dalej na białym koniu sam cesarz... Wiw limperer! hurra!

I wyrzucał w górę czapke swoją stary Zapała i salutował kijem sękatym, i promieniał cały; a zasłuchany chłopczyna, chcąc dojrzeć owego dobosza, owych trębaczy złocistych, adjutantów, jenerałów, a najbardziej onego cesarza — wytrzeszczał oczy, otwierał usta — i naturalnie takt gubił.

Stary maszerował jeszcze kilkanaście kroków, jaśniejący w sobie, odmieniony, piękny niemal, jak był przed trzydziestu laty; z oczami utkwionemi w przejrzystą różaność poranku, z rozwianym włosem, naprzód podaną piersią, na której spłowiała jego kurta, nabierała też życia i barwy. Usta jego szeptały coś po cichu — zdawał się, jakby natchniony. Po chwili opamiętywał się, gasł w sobie, kułakiem przecierał oczy, a spostrzegłszy, że Antek przyzostał, poczynał burczeć na niego.

— A czegożeś ty gębę rozdziawił, nie mający na co? Widzicie go, piecucha; a ruszajże się prędzej! Oj, żeby ty służył pod naszym wachmistrzem, dopieroby on ci pieprzu w uszy natarł! Dalej! prawa noga naprzód! Raz, dwa... a cóż ty na kółkach idziesz? A czy cię też...

Ale chłopak, raz takt zmyliwszy, szedł jak odurzony, przebierając nogami bez składu. To zdawało mu się, że niema ani lewej, ani prawej nogi, to znowu, że ma ich za wiele jakoś — i ani rusz do ładu z niemi trafić nie umiał. Szerzej więc jeszcze otworzywszy usta, stawał zapatrzony w Zapałę, a wydęta jego brzuszyna wyglądała z otworu koszuli, zapomniawszy całkiem o wojennej karności.

Stary dąsał się, gderał przez chwilę—aż ustawiwszy dzieciaka «do frontu» zaczynał sam maszerować przed nim na pokaz. Nie był to już jednak ten ów bohaterski Zapała z przed chwili. Wielkie jego stopy podnosiły się teraz nad ziemią sztywno i martwo opadały, jakoby na drewnach sękatych wprawione; nadęta wierzchnia warga komicznie jeżyła się przystrzyżonemi wysoko wąsami, a spencer jego spłowiały zwisał na zaklętej piersi, którą chwytał kaszel suchy, głęboki. Wowczas zatrzymywał się stary, głowę opuszczał, dyszał chwilę, a wziąwszy chłopca za rękę szedł z nim w milczeniu, powłócząc zmęczonemi nogami.

Dzieciak jenerałów owych złocistych, dobosza i trębaczy zapomnieć nie mógł.

Drepcząc obok Zapały, myślał, przemyśliwał, gdzieby ich dziaduś mógł widzieć? A przed nimi, jak okiem zajrzeć, rozciągały się pola ozime, mazowieckie pola, zachodzące runią zieloną, po której poranny tuman bił w słońcu pyłem złotym, jakoby się mietlice kurzyły. Od lasu tylko błękitność jakaś przejrzysta siała się po ziemi, jakoby kto strugę modrą w powietrzu rozdmuchał przez przetaki srebrne.

Chłopak wytrzeszczał oczy coraz szerzej, nadążając krokom starego. Juści nie gdzie, jeno w tym złocistym tumanie muszą być jenerały owe i cesarz. Patrzał, patrzał otworzywszy gębę szeroko; gdy jednak nic dojrzeć nie mógł, pociągnął za rękaw starego i odezwał się głosem cichym: Dziadusiu!

Ale pogrążony w sobie Wojciech nie słyszał chłopięcia.

«Dziadusiu! — przemówił wtedy malec głośniej — ja tam tego cesarza nie widział, ani trąbów nijakich».

Uśmiechnął się stary.

«A co ty myślisz, pędraku, że lada komu będą trąby grały? Oj, nasłuchał ja ich się, nasłuchał! To mi potem przez dziesięć lat z okładem w uszach dzwoniło, ani wiatru w polu nie słyszał, jeno to ich granie. Hej! nie słyszałem nawet, jak starość przyszła i bieda!

«Ludziska głupi powiadają: głuchy Zapała. Oj, nie głuchyć, nie głuchy, jeno słyszący takie rzeczy, o jakich wam się, Mazury, nie śniło! Gdzie człowiek nie był, czego nie zaznał! szedł pan na wojnę — szedł i ja. Wojciechu — powiada — nie żal ci chaty? Juźci żal, panie — powiadam. — To wracaj zdrów — powiada: ja stoję przy Napolijonie. — Ha! to i ja stoję.—A pan na to: daj rękę, bracie; nie wrócę do dom—powiada—aż z francuzami. — I nie wrócił. To był pan».

I spuszczał stary głowę, i szedł zadumany, wzdychający, aż po chwili prostował się i mówił dalej:

— Albo co! Raz pamiętam, wali nasza wiara do szturmu. Gorączż to był dzień! Pewno go tam Bóg Najwyższy czerwono w kalendarzu zapisać raczył! — Trąby grają, jakby na skończenie świata, bęben grzmi, że człowiek własnego strachu dosłyszeć nie może; gdzie spojrzysz las nie las — sterczą bagneciska, że aż w oczy kole. — My nic. Przed frontem przeleciał adjutant, błysnął szpadą, niby jasną świecą. — A my, wiara, jak hukniem: Wiw limperer! tak ci tu zara, one hiszpaniska, jak nie puszczą

---

smana, ale mimo to wydaje mi się cała ta pogłoska bajką niezasługującą na wiarę, a przynajmniej mocno podejrzaną. Prędzejbym już uwierzył wiadomości, że komitet mickiewiczowski wydał odezwę, że «słowo o burakach» skończyło się już w N. Reformie, lub że Jan Mika na knajpce bankrutuje.....

A propos p. Miki zwrócono mi słuszną uwagę, że jako kronikarz powinienem wiedzieć co znaczą wyrazy: «i Spółka» będące dokończeniem p. Miki. Otóż korzystając ze sposobności nie mogę pominąć milczeniem p. Alfreda Biasiona, głównego załociela tej dobroczynnej instytucji, a przez zwykłą skromność inicjatorów ukrywającego się w firmie jako: «i spółka.»

Gdy ludzie jakby na złość nie chcieli być ślepi,
I spóła z panem Mienem przy „Hołdzie“ skończona,
Myślał Biasion co robić i zrobił najlepiej:
Wyszedł piękny handelek z jego myśli łona.
Korzenia jego sławy nie obejmie wazon,
A naród dostał chrypki krzycząc: wiwat Biason.

Po raz trzeci, jeżeli się nie mylę, wspominam o tej instytucji, ale po raz pierwszy o jej założycielu. Taki to los prawdziwej zasługi, że dopiero po pewnym czasie ludzie ją sobie przypominają. Chcąc wynagrodzić zapomnienie nastroiłem swoją lutnię, mając nadzieję, że powyższy sześciowiersz zapewni mi dożywotni kieliszek śliwowicy gratis we wszystkie święta i dni feralne.

Żądanie moje tak jasno postawione, uwolni mnie od podejrzeń, iż dla pięknych oczu pana Biasiona piszę reklamy jego zakładowi. Każdemu otwarcie powiadam o co mi chodzi, czem wyżej nierównie stoję od kronikarza N. Reformy, który daje do zrozumienia, iż był osobiście w «wspaniałych appartamentach hr. Adamowej Potockiej,» należał do 150 osób «reprezentujących całe prawie high-life tutejszego świata» i brał udział w rozmowach pełnych «dystynkcji i ożywienia» prowadzonych «wśród atmosfery owianej znaną gościnnością.» O piękne, a raczej bogate i arystokratyczne oczy, jak wy demokratami rządzić potraficie!

Z powodu krótkości karnawału nie jestem w stanie pisać długiej kroniki, kończę ją więc życząc sobie i czytelniczkom przyjemnej zabawy na balu Koła artystyczno-literackiego, na którym wystąpię w kostiumie estetyka z drugiej połowy XIX. w.

K. B.

swoich fortów w taniec! Boże miłosierny! żeby się nasza ziemia trzy razy zapadła, toby takiego huku nie było. Oficery krzyczą: marsz! marsz! Idziesz jakby ci kto za piętami gorącą smołę lał: niewiada jeszcze, czyś z głową, czy już bez głowy. Same nogi niosą cię naprzód: prawa, lewa, prawa, lewa, marsz! A tu znów jak nie gwizdnie! Chryste Panie! Czapkę z głową by zdmuchnęło, żeby niżej poszło. My nic.»

Trzeba było widzieć starego Zapałę, z jakim ogniem, z jaką werwą mówił te dwa słowa: my nic!

Była to cała epopeja tej mazurskiej duszy.

— Dziadusiu, przerwał nagle Antek, oglądając się niespokojnie do koła — a płota to tam nie było, żeby się skryć za niego, a potem w nogi do wsi?

— «Płota? — powtórzył Zapała z wzgardliwym uśmiechem — oj ty chłopska maniero! A hunor, a ambicja? a co powie cesarz abo i kapitan?

«Dałby ja ci płot na wojnie, abo i uciekanie!

«Nasz kapitan powiadał, co jak to wojna przyszła, to wszyscy królowie i wszyscy panowie posiedli, pozakładali ręce i patrzyli, jak się polak za francuza bije? Ot, pięknieby to było, żeby potem gadali, cośma tchórze. Nie daj Boże takiego doczekania!

— A na cóż się sam francuz nie bił? — pytał dalej Antek.

— Co się miał sam bić — w przyjacielstwie wszystko po równości; my im, oni nam. A to juści i dla człowieka jest z hunorem, że go tam ludzie widzą we świecie, i znają, i powiadają o nim, żeby ci kulka nie policzyła zębów na wylot: to już twoja rzecz!

— A cesarz? — pytał chłopczyna głosem z niepokoju stłumionym — kto pilnował cesarza?

— Cesarza? oj dziecko ty moje! Pilnował ci go sam Pan Bóg Stwórca i ta jasność, co od niego biła po świecie, i te orły co nad nim latały na sztandarach naszych — i ten dech gorący, co szedł ku niemu z owych piersi ludzkich, gotowych murem stanąć, żeby jeno skinął! Nie broniły go zamki, ani pałace; w obozie jadł, w obozie spał, ktoby powiedział: człowiek jak i drugi. Ano kulka kulce świstała lecący, że to Napolijon Bonapart — i żadna tknąć go nie śmiała.

Umilkł stary wiarus, dźwiękiem własnego uniesiony głosu, a źrenice jego cicho gorzały, zapatrzone w dalekość siną.

Antek dreptał obok niego, coraz szybciej przebierając bosemi nogami. Postać bohatera, tworzona gorąco przez starego Zapałę, widomie niemal przechodziła z duszy jego w duszę dziecka. Chłopiec czuł się zaniepokojony, wzruszony; moc go jakaś brała za czuprynę konopiastą, więc podnosił głowę do góry, jak ptak do słońca — i coraz silniej ściskał rękaw starego Wojciecha. Miał też skrytą nadzieję, że tam daleko, gdzie dziaduś spostrzegał postać swojego cesarza — i on też może przecie otworzywszy dobrze gębę — cośkolwiek obaczy.

Nie mógł jednak zobaczyć nic i to go srodze trapiło.

Spojrzał staremu raz w oczy, spojrzał drugi raz, potem go za rękaw pociągnął i szepnął: dziadusiu!

Ale Zapała utonął myślą w takiej dalekiej przeszłości, że głos dziecka dobić się tam nie zdołał. Ognie mu jeno chodziły po zoranej twarzy — zwiesił głowę i w milczeniu wracał pod las, do chaty.

Nocy tej Antek spać nie mógł.

Po ławie się ciskał, rękami rozrzucał, majaczył; a kiedy go Wojciech świtaniem obudził, pierwszą myślą malca był — cesarz.

Zkąd bo się mógł wziąć ów cesarz na białym koniu, co go dziaduś wczoraj w polu widzieli? Białego konia w całej wsi nie było; nie było go i we dworskiej stajni. Jak też mógł wyglądać koń taki? A cesarz? kulki nad nim latały śpiewając, broniła go zorza złota, idąca przed nim na wojnę, a chorągwie furczały na wietrze jako skrzydła ptasie, przypięte owemu koniowi białemu.

Taki sobie obraz utworzywszy w duszy, stanął chłopczyna przy zydlu u misy, wedle siedzącego Wojciecha; nie mógł jednak jeść wiele, jeno łyżkę z garści w garść przekładał, zadumany, zapatrzony...

Aż kiedy Zapała pośniadał i jął siekierę na brusiku ostrzyć, zbierając się na porębę do lasu, malec zaczął się kręcić, staremu drogę zachodzić to z tej to z owej strony, aż wreszcie za kolana go chwycił rączynami chudemi.

— A ty czego, chłopcze? — zapytał stary.

— Mój dziadusiu! moi złoci! niechby ja też tego cesarza choć raz zobaczył! choć bez płot!

Zapała uśmiechnął się pod wąsem.

— Ot, czego się głupiemu zachciało! Cesarza! cesarza!... A cóż to, cesarz jest ekonom, abo strach na wróble, żeby go lada kiep widział? Hej! hej! nawędrował ja się niemało po świecie i niemało biedy zgryzł i skórę własną, jako wąż, odmienił, zanim go oczy moje ujrzały!

— A jakże go oczy wasze ujrzały? mój dziadusiu! — pytał dalej Antek z najwyższem zajęciem, chwytając znowu za kolana starego.

Zapała siekierę poostrzoną na brusiku wsparł i westchnął głęboko. C. d. n.

MOJA ŁÓDKA.

(„Ma nacelle.")

Po głębokiej płynąc fali,
Moja łódka nie steruje:
Pędzi śmiało dalej, dalej
Kędy los nią pokieruje...
Silny wiatr powiewa nagle —
Łódź popycha, wzdyma żagle, —
Ja swobodnie piosnkę nucę:
Poco próżno męczyć dłonie?..
Ster opuszczę, wiosło rzucę...
Moja łódka nie zatonie!..
Płyń do portu, łódko, płyń!..
Skały miń, wiry miń...
Płyń, płyń, płyń!....

Muza moja płynie zemną:
Od niej mam wesołe piosnki...
A więc nutą ich przyjemną,
Świeżą zawsze jak pierwiosnki,
Słodzi się żegluga cicha...
Tak szeroko pierś oddycha
W tym swobodnym łódki biegu!..
Wonie łąk i kwiecia wonie
Wietrzyk niesie mi od brzegu!..
Moja łódka nie zatonie!..
Płyń do portu, łódko, płyń!..
Skały miń, wiry miń!..
Płyń, płyń, płyń!...

Tam, pozamną, świat ponury
W smutku stroi się całuny;
Tam, pozamną, — z czarnej chmury
Wieje burza, grzmią pioruny.....
Ziemia w trwodze drży i stęka.....
Lud się lęka, król się lęka...
A przedemną — wieczna wiosna
Lśni zielenią, kwieciem płonie!..
Toż piosenka brzmi radosna:

Moja łódka nie zatonie!..
Płyń do portu, łódko, płyń!..
Skały miń, wiry miń!....
Płyń! płyń! płyń!....

Tam przedemną, w oddaleniu
Kwitną rajskie gdzieś ogrody,
W których chłodzie, w których cieniu
Pełne wdzięków i urody,
Modrookie, białolice
Uśmiechają się dziewice...
Każda lilji niewinnością
I rumieńcem róży płonie...
One szepcą mi z tkliwością:
„Twoja łódka tu zatonie!..“
O, nie, łódko! Dalej płyń!..
Skały miń, wiry miń!..
Płyń! płyń! płyń!

Znowu łódka płynie śmiele...
Tam czekają mię na łące
Nieznajomi przyjaciele...
Lecz ich piosnki takie brzmiące,
Lecz ich uśmiech miły taki!..
Oto dają mi już znaki,
Że uwite z kwiecia wieńce
Włożyć chcą na moje skronie...
I śpiewają mi młodzieńce:
„Twoja łódka tu zatonie!..“
O, nie, łódko!.. Dalej płyń!..
Skały miń, wiry miń!..
Płyń! płyń! płyń!..

Znów przedemną w sinej dali,
Lśni świat nowy, wolny troski:
Tam się słonko jaśniej pali!..
Tam napojem — nektar boski...
Tam, pod niebem jasnem wiecznie
Żyje wolno i bezpiecznie
Lud miłosny i łagodny,
Bo szczęśliwość nosi w łonie...
Już mi nuci głos swobodny:
„Twoja łódka tu zatonie!..“
O, nie, łódko! Dalej płyń!..
Skały miń, wiry miń!..
Płyń! płyń! płyń!..

Po zwodniczej życia fali
Biegnij chyżo, moja łódko!..
Slizgaj śmiało dalej, dalej!..
Już żegluga będzie krótką!..
Mińmy dziewy i młodzieńce,
Mińmy przyjaźń, sławy wieńce!..
I krainę też swobody
Bez żałości rzućmy, mińmy!..
Nas czekają inne gody:
Oto port już — więc zawińmy!..
Płyń do portu, łódko, płyń!..
Smiało wpłyń, żagle zwiń!..
Zwiń! zwiń! zwiń!..

z Beranger'a **L. Kozłowski.**

SZKICE ETNOGRAFICZNE.
POGRZEBY.

Napisał **Fr. Ksaw. Mroczko.**

(Ciąg dalszy).

II.

Wielce ciekawe są pojęcia, jakie ma lud ukraiński o życiu pozagrobowem.

W pojęciu owem jest wielka fantazja, cechująca lud ten rozsiadły na obszarach nieobjętych okiem, mogiłami pogarbionych..... Jedno z takich opowiadań, wyjętych z ust ludu pozwolę sobie przytoczyć [1]).

Może i nie było na świecie piękniejszych dziatek jak u naszej pani.

Były u niej dwie córeczki. Starsza nazywała się Hanusia, a młodsza Katrusia.

A jakie to były dziatki! gdybyście je widzieli!.... Jak dwie boże gwiazdki na niebie!.. Ale niedługo cieszyła się niemi nasza biedna pani! Zabrał je obie Pan Bóg do siebie, bo znaną to rzeczą, że co piękniejsze to bierze Bóg sobie, a co brzydsze zostawia ludziom.

Jakżeż nie płakała i nie rozpaczała nasza pani? Prawda to święta, co powiadają, że jak matka płacze, to tak jak rzeka płynie...

Raz przyprowadzili do niej starą babę, co niedawno zaumarła (była na tamtym świecie i widziała wszystko, co się tam dzieje z duszami zmarłych) czy nie pocieszyłaby jaką wieścią naszej pani. Przyprowadzili. Jawdocha przystąpiła do naszej pani i mówi: «Dobrodziejko! ot przyszła stara Dubynycha, która zaumarła i była na tamtym świecie i widziała wszystko, co się tam dzieje z duszami zmarłych.

«Zapytajcie, czy nie pocieszyłaby was jaką wieścią?

Pani dodnosła głowę i patrzy na Dubynychę — a Dubynycha stoi przed nią — stara, staruszeczka, aż strach na nią patrzeć.

— Więc ty była na tamtym świecie?

— Byłam, moja dobrodziejko!

— Cóżeś tam widziała?

— Widziałam wszystko, moja dobrodziejko, co się dzieje z duszami zmarłych.

— A widziałaś tam moją Hanusię i Katrusię?

— Widziałam Hanusię i Katrusię.

Pani aż z łóżka wyskoczyła.

— Cóż one tam robią?

— Matka Boża robi pończoszkę [2]) a one przed nią złote dzierżą kłębuszki.

Jak to usłyszała pani moja, nie wymówiła nawet słówka z radości; potem rzuciła się na kolana przed obrazem.....

A był u niej w sypialni obraz wielki a piękny — wymalowana na nim Przeczysta z dzieciątkiem, jak gdyby żywa patrzy z obrazu.

Więc jak się rzuci przed ów obraz, jak załamie ręce, jak zapłacze!

A my wszyscy sobie zapłakali.

«Matko Boża! — mówi — królowo niebieska! jakże rozradowałaś serce moje, żeś dziatki moje *jak sieroty* do siebie przytuliła.

) Zapiski Kulisza o Južnoj Rusi.

[2]) Przypomina mi się mimowoli ów prześliczny ustęp z poematu T. Lenartowicza. „Zachwycenie,“ gdzie na zapytanie dzieciny „co robi w niebie gwiazda zaranna, Królowa nasza najświętsza Panna?“ Odpowiada macierz:

. . . .
Matka najświętsza dla ludzkiej nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci, sieroty,
Miały koszulki z onej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nici białego lata,
Co się na naszych płotach oplata.....

I płacze rzewnie dziękując, a my stojąc, także płaczemy.

Ale jakoś się wkrótce opamiętała. wypłakała się i zrobiło się jej weselej na sercu. Pyta więc dalej Dubynychę:

— Babusiu! hołubko moja! powiedzże mi, co się tam dzieje z duszami zmarłych?

— Oj pani moja! zazulko moja! czyż można to wszystko wypowiedzieć, co się dzieje na tamtym świecie?

«Gdyby nawet nie jeść i nie pić a jeno opowiadać, jeszcze by nie skończył wszystkiego.

«Więc— mówi—jak już przyszła godzina śmierci, stanęła śmierć z kosą w nogach.

«Jak tylko stanęła pozimniały mi nogi.»

A my stojąc słuchamy, a ciarki przeszły po całem ciele.

«Dalej i brzuch i ręce i wszystko zziębło,..

Patrzę a ona już u mnie w głowach. Jak machnie kosą a moja dusza tylko purch! i jak ptaszyna wyleciała, poleciała po chacie i usiadła w kąciku na obrazie pod samym sufitem. Grzechy zaś stanęły w progu i nie puszczają duszy z chaty. Widzę— wyjść nie można; patrzę, aż tu okno otwarte. Ja purch w okno i poszła, poszła polem.

«A było mi jakoś tak lubo a lekko, jak gdybym się na świat narodziła. Patrzę — nie idę sama, ale prowadzi mnie jakiś dziad, a boję zapytać, dokąd mnie prowadzi. Idziemy, a tu nad szlakiem dwa psy się gryzą a gryzą żażarcie. Więc mówi dziad: To nie są psy, ale dwaj bracia, który się poswarzyli i pobili idąc stepem. Rzekł tedy Pan Bóg: Jeżeli się już rodzeni bracia wadzą ze sobą, jakże może być dobrze między ludźmi? Niechaj się w psy przemienią i gryzą się z sobą. Stało się więc wedle Bożej woli. Minęliśmy ich a one jeszcze skomlą i warczą gryząc się z sobą.

«Idziemy dalej stepem; patrzę, a tu jama tak głęboka, że dna nie dojrzeć. Dziad mówi: leź! —ja się boję. Leź! mówi. Musiałam więc poleźć. Patrzę, a tu drugi świat. Wszędzie siedzą dusze zmarłych, młode z młodemi, stare ze staremi, a jak kto na tym świecie zasłużył tak ma na tamtym.

«Kto dawał biednym jałnużnę, wszystko to przed nim leży, czy kawał chleba, czy kółko kiełbasy, czy sadła kawałeczek, — wszystko to leży przed nim na stole, a kto nic nie dawał, ten tak siedzi.

Idziemy — mówi — dalej, a tu woły chodzą w tak bujnej paszy, że im rogów z trawy nie widać, a same tak chude jak deski. Obok nich chodzą woły po nagiej ziemi, ani trawki nie mają pod nogami, a brzuch wlecze się im aż po ziemi. Więc dziad mówi: «Te chude woły, to bogaci ludzie, którzy sami żyli w rozkoszach nie dbając o biednych, a te tłuste woły to biedni ludzie, którzy sobie od ust odejmowali, wspomagając biednych.

«Teraz są one syte i napojone, a te co stoją w paszy aż po rogi, chude jak deska. Tak to na tamtym świecie i bogaci i szczęśliwi, pomrą wszyscy, wszystko przeminie.

Powiedziano: «Ten świat jak makowy kwiat, który w dzień kwitnie a w nocy opada.»

«Idziemy— mówi — dalej, aż między dwoma dębami gore człowiek w płomieniu i woła: Na Boga! nakryjcie mnie, bo zmarznę. Dziad mówi: Tego człowieka prosił zimą podróżny o nocleg. Na dworze była zawierucha i zamieć ogromna, że i psa nie wypędzić, ale on go nie chciał przyjąć, więc ten biedaczysko zmarzł na drodze. Za to on gore teraz w płomieniu a jemu się jeszcze zdaje, że zimno i cierpi tak jak ów podróżny.

«Idziemy— dalej leży człowiek koło krynicy; przez usta płynie mu strumień a on krzyczy: Dla Boga! dajcie mi wody, dajcie się napić. Dziad mówi: ten nie dał pewnemu człowiekowi napić się wody u żniwa. Żął on w polu, idzie starowina drożyną skwar wielki dokuczał, a było to w spasonkę [1]). Oj — mówi — dobry człowiecze, daj mi dla Chrystusa napić się wody. A on do niego: czy dla ciebie wywiozłem? wyleję na pole, a nie dam takiemu jak ty darmozjadowi. Teraz mu strumień płynie przez gardło, a on prosi pić jeszcze — i będzie mu na wieki wieków tak ciężko, jak temu starowinie.

«Idziemy — aż w smole kipi jakaś kobieta a przed nią leży cebulka.

«Dziad mówi: Oto tak męczy się matka waszego starego Onysyma, który bywało biednych nakarmił, nigdy żadnej duszy nie skrzywdził, ani też nie skłamał. Była ona bardzo bogata, ale taka skąpica, że nikt od niej nawet kawałeczka chleba nie dostał.

«Raz pełła cebulę w ogrodzie a poza płotem idzie starowinka. Obdarz mnie — mówi — czem pani matko dla Chrystusa.

«Ona urwała piórko i mówi: «przyjmij starcze Boży!» Tyle od niej widzieli.

«Jak umarła, nigdzie indziej nie mogła się dostać, jak tutaj. Wzięli ją niebogę i zaciągnęli do piekła.

(Dokończenie nastąpi).

PODRÓŻ.

„Le postillon.")

(Improwizacja do przyjaciół w 60-tą rocznicę urodzin).

Podróż nasza krótka po tej ziemi:
Rychło może już pożegnam was...
Bieżym ciągle pędy szalonemi,
Bo woźnicą — stary Saturn, Czas!.-
Czy karetą, czyli wóz ubogi,
Łachman wiezie, czy złocisty strój, —
Ni na chwilę on nie zwolni drogi...
Nie chce nawet słyszeć starzec srogi
Głosu tego, co mu woła: „Stój!.....
Starcze, stój,
Choć na chwilę stój!.."

Nadaremnie wołamy i krzyczem:
Głuchy—zimny—naprzód, naprzód mknie!..
Z taką siłą włada strasznym biczem,
Że mu z drogi wszystko chroni się.....
Trwogę naszą on ma za nic sobie,
Szydzi, patrząc na łez naszych zdrój, —
I wciąż pędzi, marząc o tej dobie,
Gdy nas martwych rzuci w czarnym grobie,
Mimo wołań i próźb naszych: „Stój!
Starcze, stój,
Choć na chwilę stój!.."

Głupcy patrzą na nasz pęd szalony...
Krzyczą: pocóż? jeszcze będzie czas!..
I dla śmiechu z tej i owej strony
Kamieniami osypują nas...
Uciekamy... Lecz, im dalej biegniem,
Tem zjadliwszy widzim głupców rój...
Ha! cóż czynić!... Karków ich nie zegniem —
Znikną chyba, kiedy w grobie legniem!..
Lecz znużeni, jeszcze prosim: „Stój!..
Starcze, stój,
Choć na chwilę stój!.."

Próżne prośby, starzec wciąż popędza!..
W chwilach smutku myślim: pora już!..

---

[1]) dnia 15 sierpnia.

Życie przecież — to ból, albo nędza...
Mało, mało kwitnie dla nas róż!...
Lecz myśl taka wkrótce się rozprasza:
Płyną dumy wnet na inny strój:
Czyż już koniec?.. Łzą się oko zrasza —
Taka piękna była młodość nasza!..
Więc wołamy wielkim głosem: „Stój...
Starcze, stój,
Choć na chwilę stój!..“

Dzisiaj oto sześćdziesiąta stacja
Mej podróży... Jeszczem żyw i zdrów...
Czy ujrzycie mię żywego, bracia,
Za rok? Nie wiem, lecz przychodźcie znów:
Kto wie? — Może pożałuje koni
Zapalczywy Eudomedon mój...
Może ucho waszym prośbom skłoni —
I pod ciepłem waszych zacnych dłoni
Zmięknie przecie na wołania: „Stój!....
Starcze, stój,
Choć na chwilę stój!“....

z Berangér'a **L. Kozłowski.**

ZACHÓD SŁOŃCA.

NOWELLA

Fr. Coppée.

Było prześliczne październikowe popołudnie; to też spokojny szlifibruk poświęcił je w całości na poszukiwanie starych książek. W tym celu odbył przegląd wystaw antykwarskich, zaczynając od barjerki na wybrzeżu Ś-go Michała, bynajmniej nie w nadziei znalezienia jakiej avis rarissimy lub wyczerpanego Elzewira — dawno bowiem minęły czasy, gdy *„z francuzkim pasztetnikiem»* można się było spotkać w dwususowej przegrodzie, lecz aby dłużej korzystać z pięknej przechadzki nad Sekwaną i wśród przyjemnych marzeń napawać się ostatnim uśmiechem pogody! Cudowny dzień! Niebo czyste, słońce nie pali i jeszcze od czasu do czasu muśnie niespodzianie chłodnawy wietrzyk. W połowie drogi przed mennicą nasz zbieracz nabył za niezbyt wygórowaną cenę dwóch franków egzemplarz *„Gaspard'a de la Nuit* przez Al. Bertrand,“ wprawdzie nieco uszkodzony, ale jeszcze wcale pokaźny, a przytem wypełniający lukę w jego kolekcji romantyków; potem ściskając czule nabytek, ciągnął przegląd aż mostu królewskiego, dokąd przybył około piątej. Był trochę zmęczony, a okrągłe stoły, ustawione szeregiem pod kawiarnią Orsay'a tak nęciły do spoczynku. Usiadł więc i kazał sobie podać szklankę piwa.

Następnie powiódł okiem po swojem otoczeniu; chwila była wspaniała. Tam na lewo, na bladym lazurze, na którym jego promienie mieniły się w morzu, majestatycznie zachodziło słońce rzucając złote pożegnanie cudnej panoramie Paryża. Bukiet jaworów, których gałęzie mięszały się z masztami na Fregacie, wysmukłe topole ocieniające łazienki Vigier'a, i trochę dalej gęste kasztany na nadbrzeżnym tarasie zapałały się pod przeciągłym pocałunkiem zachodzącego słońca, a ich liście zdały się być z miedzi lub złota. Purpurowa błyskawica trysnęła ze wszystkich okiem pawilonu Thuileriów, a harmonijna szara linia Luwru skąpała się w różanym blasku. Olśniewające i ciepłe światło padało ukośnie na wszystkie przedmioty, wydłużając na ziemi cienie, zmuszając przechodniów do mrużenia oczów i zamieniając w zwierciadła błyszczącą skórę powozów i lśniące grzbiety koni. Natura, ten bezinteresowny wirtuoz, stwarzała w tym dniu arcydzieło za arcydziełem i dobrze opiekowała się zachodem słońca; a nasz włóczęga, który wypadkiem przypatrywał się temu widowisku, uczuł się nagle odurzonym, spokojnym, a promiennym tym blaskiem, który przekształcał gmachy, drzewa i niebo.

Tymczasem liczni przechodnie powracali do domów —wielu z nich, przebywszy most i minąwszy wybrzeże, przechodziło przed stołami kawiarni i nasz bohater chwytał w lot urywki ich rozmowy.

Na wstępie pojawili się dwaj czarno ubrani jegomoście — adwokackie oblicza w pince-nez i z faworytami — dźwigając ciężkie teki z czarnej skóry.

— Więc myślisz pan, że stronictwo Lavigne'a będzie głosowało z prawicą, mówił jeden z nich z gniewem... Ależ to byłoby ohydne!

— Cóż pan chcesz! odpowiedział drugi ze znaczącą miną. To należy do taktyki parlamentarnej.

I oddalili się, wśród tej ciekawej rozmowy, nie zaszczyciwszy ani jednem spojrzeniem zachodzącego słońca.

Nagle tysiąc ptaszków, których drgające skrzydełka wstrząsały, jakby dreszczem, platany Fregaty, rozpoczęły to, co lud zowie naiwnie ich wieczorną modlitwą. Po przegrywce, złożonej z kilku oddzielnych krzyków, nagle rozległ się koncert i z pomiędzy wielkich drzew, usianych niby iskrami, wzniosło się szalone szczebiotanie, w którem mięszał się świst kosów, ćwierkanie wróbli i świegotanie zięb, a to wszystko zlane w jednostajny niezmierzony chór, naśladowało czysty i przeciągły szum potoku spadającego na kamienie.

Tu przeszły dwie młode mieszczki, dość wytwornie ubrane. Obok nich postępował chłopczyk, wystrojony jak uczony piesek, trzymając w ręku balonik z napisem: *Au Louvré.*

— Ręczę ci, moja droga, mówiła jedna z dwóch kobiet do swej towarzyszki, żeś bardzo źle zrobiła kupując dziś szwedzkie rękawiczki... W sobotę będzie wystawa w *Bon Marche*... Doskonała sposobność.

A słońce, nie ściągając na siebie uwagi tych trzpiotek, ani kogokolwiek innego, opuszczało się ciągle z królewską powagą i okazałością. Teraz dotykało już prawie szklannej kopuły pałacu rzemiosł, która błyszczała jak góra dyamentów. Strop niebios znowu zmienił swą powierzchowność. Podczas gdy od wschodu pozostał czysty, przybrawszy tylko ciemniejszy odcień, na zachodzie długie fioletowe obłoki, bramowane złotem, zawisły nieruchomie w turkusowej przestrzeni.

Gruby kapitan i cienki podporucznik od huzarów, w obcisłych mundurach zbliżyli się od strony koszar kawalerji. ciągnąc po trotuarze swoje pałasze i zatrzymali się na progu kawiarni.

— Jestem tego pewny, kapitanie... Porucznik Tardieu będzie objęty styczniowym awansem... To jego «psi figiel.»

— A ja ci powiadam, że nie na niego kolej starszeństwa.

— Łatwo się o tem przekonać.... Poradźmy się *Rocznika.*

I weszli do kawiarni, dokąd zresztą powoływała ich już pora absyntu.

W tej chwili słońce, które zasłaniały oddalone drzewa pól elizejskich, pogrążyło się za widnokręg i nagle wszystko pociemniało. W kilka sekund domy i pomniki zrobiły się smutne i czarne, jak gdyby postarzały o sto lat; jesienne liście, których powierzchnia przed chwilą błyszczała, przybrały posępny zdrowy odcień; ptasi koncert zaciągnął się jeszcze chwil kilka, coraz słabnąc, wreszcie umilkł; chłodny wiatr zawiał od północy i przebiegł w przestrzeni, niby długie żałosne westchnienie.

Ale jednocześnie — jakby posłuszne prawu, które chce, aby wszystkie gasnące światła przed śmiercią choć raz jeszcze świetniej zabłysły — słońce zniknąwszy już, rozwinęło w stronie nieba, gdzie panowało jeszcze jego wspomnienie, cały przepych

zmierzchu; i oto koło mostu «zgody» na widnokręgu ponad rzeką powstała nagle grota drogich kamieni, która pozwala śnić o wejściu do podziemi, ukrywających skarby azjatyckich despotów. W około tego błyszczącego ogniska gromadziły się obłoki, zmieniając bez przestanku odcienia i kształty. Z początku ułożyły się jak łańcuch gór złotych; potem pasmo się przerwało i archipelag rubinowych wysepek wypłynął na ocean dziwnie delikatnej zieloności; to znów wyspy wydłużały się i przekształcały w świetlane węże, w ogniste ryby; i nagle, zanim się kto spostrzegł utworzyły się nowe obłoki, dalej, na prawo, na lewo, wszędzie rysując znikome potwory, strojąc się w kolory, które mogłyby o rozpacz przyprawić Veroneze'a, a stawiając i waląc na prędce powietrzne Babele. Były tam olbrzymy, które w achitektonicznych zarysach zachodziły w dal; jakiś wielki obłok, brudno fioletowy wił się jak krokodyl otwierając potworną paszczę, a tam w górze, jakaś osamotniona chmurka, czysta jak dzieweczka, zdawała się być kwiat zakwitającym w nieskończoności.

W tej chwili przez most królewski przejeżdżał omibus; był pełny i cały rząd podróżnych, siedzących w imperialu, zwrócony był twarzą do przepysznego widoku. Ale w tym samym czasie zdarzył się jakiś sensacyjny wypadek — potrójne morderstwo, czy też przesilenie ministerjalne — i wszyscy pasażerowie czytali wieczorny dziennik, stawiając między swym wzrokiem i wzniosłem widowiskiem zachodzącego słońcen banalność wstępnego artykułu lub grozę wiadomości miejscowych.

Słońce zostało zwyciężone; lecz zanim całkiem znikło, dobyło ostatnich sił przeciw obojętności obywateli i z swej bezdennej głębi cisnęło taki snop purpurowej światłości, że cały krajobraz od niego zapałał. Niebieskie ustronia zarumieniły się, jakby ze wstydu; rzeka potoczyła w swych falach krew i róże, a fronty domów i nawet twarze przechodniów zafarbowały się krwawym blaskiem.

Ale zbieracz książek, siedzący przed kawiarnią Orsay'a napróżno obserwował fizjonomje, naprożno wsłuchiwał się w urywki rozmowy tych, którzy przed nim defilowali. Byli to milczący rzemieślnicy, powracający na wieczorną zupę, zgięci od pracy z oczami utkwionemi w ziemię; to znowu dwóch literatów w trakcie obmawiania kolegi; to kupcy i finansiści, zatopieni w pamięciowym rachunku, marząc o jakiemś podejściu majątku bliźniego; to nareszcie piękna kobieta, której spojrzenia szukały we wzroku innych tylko pieszczotliwego pochlebstwa.

Żadna z tych istot nie troszczyła się o zachód słońca.

Tylko jakiś mieszczanin, prowadzący się pod rękę z małżonką raczył rzucić okiem na widnokrąg; potem wyrzekł te proste słowa:

— Niebo czerwone... Będziemy mieli wiatr.

Noc zapadła. Na posępnym lazurze wschodu zabłysło kilka wątłych gwiazdek: po zmierzchu została tylko ruda mgła, jak po spaleniu sztucznych ogni: a jakiś tam włóczęga, z którego kontemplacja natury zrobiła tego wieczoru poetę, był przez chwilę dumny i razem wzruszony, w przekonaniu, że słońce zachodziło tylko dla niego.

HONOR DOMU

NOWELLA

Franciszka Coppée.

Przed trzydziestu laty panna de Saint-Ave, uchodziła jednogłośnie w Vannes za najpiękniejszą i najlepszą dziewicę w całym kraju. A miała do tego pełne prawo. Bogaci podziwiali jej niewymuszone, a tyle arystokratyczne obejście się — biedni ubóstwiali ją za jej słodycz i dobroczynność, a niezmordowana troskliwość i miłość, jaką otaczała sędziwego dziadka swego, budziła uwielbienie ogólne. Był on jedynym krewnym, jakiego posiadała Blanka de Saint-Avé. Matka umarła dając jej życie, ojca straciła w bitwie w dniu 6 czerwca 1832 r. Mała sierota tedy wychowaną została przez dziada, starego barona, w tradycji szlachetnego, nieposzlakowanego rodu de Saint-Ave. Dziad i wnuczka byli dumą małego bretońskiego miasteczka. Każdemu obcemu, który przypadkowo zabłąkał się do zapomnianego przez świat i ludzi Vannes, pokazywano wśród innych osobliwości miasta, starożytną posiadłość rodziny de Saint-Avé, na rue des Orfèvres i opowiadano półgłosem, że tu mieszka panna Blanka de Saint-Ave, najszlachetniejsza i najpiękniejsza kobieta w kraju. Piękność Blanki była rzeczywiście nieporównaną. Kiedy wsparta na ramieniu dziadka, wspaniałego starca, wchodziła w niedzielę do katedry, rozlegał się wśród szeregów wiernych szmer uwielbienia i podziwu na widok tej wysmukłej, wdzięcznej postaci, o czystym owalu Madonny, ocienionym miękkiemi zwojami złocistych włosów. A ludzie ci widywali ją wszak prawie codziennie.

Pomimo jednak tych ujmujących przymiotów ciała i duszy, nie znalazł się dotąd żaden szlachetnego rodu młodzieniec, któryby pożądał Blanki na żonę. Blanka bowiem była biedną i nie mogła liczyć na żaden spadek. Doszła tak do lat 25.

Często zastanawiała się nad swojem położeniem. Z początku patrzyła w przyszłość z ufnością i spokojem. Miała wszak dopiero lat 18 i czuła się w otoczeniu swojem, złożonem z dziadka i starego wiernego sługi Loïc'a Huelgoat'a, zupełnie szczęśliwą, a miłosierne uczynki, codzienne wycieczki do chat ubogich i chorych, przepełniały jej serce zadowoleniem. Lecz z biegiem lat dziwna jakaś tęsknota opanowała istotę niezmienionej pozornie Blanki, uczucie niewytłomaczone, niby niejasna świadomość istnienia czegoś nieznanego jej dotąd, a pięknego i wzniosłego. Płakała często, nie wiedząc sama przyczyny łez swoich. Wśród samotności i ciszy nocnej gryzła często usta do krwi, a w czarnych jej oczach płonął ponury ogień, który przeraziłby tych wszystkich, którzy widywali ją tak spokojną, tak marmurowo-chłodną.

Życie w domu barona de Saint-Avé płynęło monotonnie, bez zmiany. Dochód z niewielkich jego włości, wystarczał na skromne, odpowiednie stanowisku utrzymanie. Z wyjątkiem kilku starych dam i dwóch księży o świętobliwej minie, nikt nie odwiedzał barona. Przy sprzyjającej pogodzie spacerował baron zwykle z wnuczką nad brzegiem morza pod cieniem odwiecznych drzew, dobrotliwym uśmiechem odpowiadając na ukłony znajomych, a towarzysząca mu Blanka rozdawała drobną miedzianą monetę otaczającej ją wpółnagiej, żebraczej dziatwie. Gdy deszcz padał, a deszcz pada często w tej części kraju, drzemał baron w swym gabinecie, trzymając w ręku «Gazette de France,» a Blanka siadała przy nim pochylona nad robotą misternej koronki. Tak mijał niepostrzeżenie dzień za dniem, nie przynosząc ze sobą żadnych odmian, żadnych wzruszeń, a tylko ciężki dzwon na wieży kościelnej przypominał, że czas postępuje z nieubłaganą szybkością.

Loïc Huelgoat, stary, wierny sługa domu, kiedyś wśród zgiełku bitwy, uratował baronowi życie. Ponieważ p. de Saint-Avé nie mógł go, jak w średnich wiekach pasować na rycerza, chcąc mu okazać swą wdzięczność, zajął się wychowaniem syna Loïca: Sulpicjusza.

Sulpicjusz skończył duchowne seminarjum i powróciwszy do domu 18-letnim młodzieńcem, oznajmił ku wielkiemu przerażeniu barona i ojca swego, że stanowczo zrzeka się sutanny, gdyż nie czuje najmniejszego powołania do świątobliwego stanu kapłan-

skiego. Po długich a próżnych namowach, porzucili obaj starzy myśl widzenia Sulpicjusza księdzem, i baron wkrótce postarał się dla niego o miejsce pisarza u notarjusza. Sulpicjusz tymczasem towarzyszył pannie Blance w jej codziennych wycieczkach i nosił za nią w charakterze pazia koszyk z artykułami żywności, które rozdawała ubogim i chorym. Gdy wstąpił w służbę u notarjusza, dozwolonem mu było w niedzielę odwiedzać swego dobroczyńcę. Wierny staremu zwyczajowi, baron w niedziele dopuszczał zbawcę życia swego do swego stołu; zaszczytu tego dostąpił również Sulpicjusz. Po obiedzie siadywał baron w swym wygodnym fotelu, a Sulpicjusz, wyjąwszy pierwszą lepszą książkę z zakurzonej biblioteki, czytał głośno wnuczce i baronowi. Starzec zasypiał po chwili, a Sulpicjusz czytał dźwięcznym głosem dalej, podczas gdy Blanka niezmordowanie wyszywała koronkową tkaninę. Skoro minęła w ten sposób godzina, podnosiła Blanka swe duże, spokojne oczy, i mówiła jednostajnym głosem: «Dosyć Sulpicjuszu, jesteś już zmęczony.» Milczący tedy siedział Sulpicjusz dalej na miejscu swojem i ukradkiem patrzał na cień łagodnie zarysowującego się profilu Blanki, na błyszczące przy świetle lampy złociste zwoje jej jasnych włosów, śledził pilnie każde poruszenie jej delikatnych, przeglądających przez koronkową tkaninę palców, i tak zatopiony w jej widoku, zapomniał o wszystkiem— wszystko co nie było nią stawało mu się obojętnem; tylko serce silnie bijące ściskało się boleśnie, a dziwne, niewyraźne uczucie tamowało mu oddech...

A kiedy w nocy przywoływał na pamięć wszystkie te straszne a tak słodkie chwile, ogarniała go trwoga i myśli plątały mu się w szalonym wirze. On — nisko urodzony, lokajski syn, wychowany przez dobrodziejstwo pana, u którego ojciec był na łaskawym chlebie, a ona...

Czarne myśli owładnęły nim i prześladowały go gdziekolwiek się obrócił, we śnie, czy na jawie. Sulpicjusz nie chciał się myślom tym poddawać, biegł na łąki i góry, aby przed niemi uciec — lecz napróżno, ścigały go jak cień.

Rozkoszny wieczór letni roztaczał cień dokoła. Baron drzémał w swoim fotelu — Sulpicjusz na żądanie Blanki przerwał czytanie. Stojący w wazonie na stole duży bukiet kwiatów, napełniał powietrze ciężką, upajającą wonią. Nigdy jeszcze nie odczuł Sulpicjusz tak silnie męczarni dręczącej go miłości i upajał się widokiem Blanki. Naraz podniosła wzrok ku niemu — i po raz pierwszy spotkały się ich oczy głębokiem namiętnem spojrzeniem. Na obliczu dziewczęcia przemknął się jakby odblask tego posępnego ognia, który płonął w oczach młodzieńca. Sulpicjusz zbladł, krwawa zasłona zamgliła mu wzrok, zerwał się, zachwiał i wycisnął na ustach Blanki palący pocałunek.

Straszny to był dla obojga ten czas szału i miłości. Jak złodziej zakradł się w nocy do jej pokoju. Blanka dała mu klucz od tylnej furtki. Po omacku przedostawał się przez ciemne długie korytarze starego zamku, torując sobie lewą ręką drogę, a prawą trzymając obuwie zdjęte przez ostrożność. Sulpicjusz wszelkich starań dokładać musiał, aby uniknąć najlżejszego hałasu, najsłabszy dźwięk bowiem głośnem echem odzywał się w obszernych pokojach i korytarzach zamku, a nadgniłe posadzki skrzypiały i trzeszczały za lada stąpnięciem. Co krok zatrzymymywał się Sulpicjusz z silnie bijącem sercem i nasłuchiwał trwożnie. A na górze, na schodach ona czekała niemniej trwożna, wstrzymując oddech, wydając stłumione westchnienia, z ręką na sercu, dla wstrzymania gwałtownych jego uderzeń. Gorąca, rozpalona jej dłoń chwytała ręką Sulpicjusza skoro stanął przy niej...

Lecz w błędzie samym leżała ich kara. Trwoga, aby ich nie odkryto, mroziła ich gorące pocałunki, samowiedza zrządzonej domowi sromoty zatruwała ich pieszczoty, a do tego niebawem Sulpicjusz i Blanka przyszli do strasznego przekonania, że się nie kochali, że usłuchali nie głosu miłości, a ulegli podszeptom rozszalałej namiętności. Byli oboje bardzo nieszczęśliwi.

«Co zrobimy, jak nas podejdą?» szeptała raz Blanka drżąc Sulpicjuszowi do ucha. «Zastanawiałem się nad tem często» — odpowiedział.

«O! mam, mam niezawodny, lecz straszny punkt wyjścia!» Sulpicjusz prosił Blankę, aby sztylet, który odziedziczyła po ojcu leżał zawsze w nocy na stole jej pokoju.

Wchodząc raz w nocy do pokoju Blanki, Sulpicjusz był mniej ostrożnym niż zwykle, potknął się, upadł i pociągnął krzesło za sobą, które z łoskotem uderzyło o posadzkę.

«Zginęliśmy!» zawołała Blanka półgłosem. Jakoż ruszano się już w domu na odgłos niewytłomaczonego hałasu o tej niezwykłej porze. Blanka jak nieprzytomna pobiegła do okna i odsłoniła firankę. Księżyc niemiłosiernie jasno oświecał postać Sulpicyusza. W podniesionej ręce trzymał sztylet. «Umrzemy razem, nieprawda Sulpicjuszu!?»— szepnęła, a błysk radości rozjaśnił jej oblicze. «Nie!» zawołał silnym głosem.— ja sam powinienem umierać!» W tej chwili usłyszała Blanka głos dziadka: «Loïcu! Loïcu! Do mnie! Słyszę głos mężczyzny w pokoju mojej córki... Broni, Loïcu! broni!!»

Sulpicjusz kurczowo ścisnął rękę Blanki i szepnął: «Ciężko zbłądziłem, pragnę jednak uratować twój honor i honor twego domu! Jak baron wejdzie do pokoju, ja już żyć nie będę. Powiedz mu, żem się wkradł do ciebie... żeś mnie w walce zabiła... Żegnam cię!» Sulpicjusz pchnął ostrze sztyletu w serce i padł na ziemię. Uczynił to w samą porę, gdyż stary baron otwierał drzwi. Drżące w dłoni jego światło oświecało zmienioną twarz starca i rozwiane śnieżnie białe włosy. Za nim stał śmiertelnie blady Loïc z bronią w ręku. Blanka wyjąkała mechanicznie imię Sulpicjusza i padła zemdlona.

Honor był uratowany! — —?

Panna Blanka została starą panną. Obcym przybywającym do Vannes zawsze jeszcze pokazują dom na rue des Orfévres i opowiadają: «Tu mieszka sławna panna de Saint-Avé, niegdyś najszlachetniejsza i najpiękniejsza kobieta w kraju; zabiła przed laty oszalałego z miłości ku niej syna swego sługi, który się zakradł do jej sypialni; nie może już przyjść do siebie po przestrachu owej nocy i cierpi na chorobę sercową. Doktorzy mówią, że zimy nie przetrzyma. Szkoda biednej panny!»

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Prezydujący w radzie admin. dawał obiad dla dam i orszaku dworu, zaproszeni byli i posłannicy zagraniczni, jakoteż niektóre nasze damy i najznakomitsi urzędnicy; ogółem znajdowało się przeszło sześćdziesiąt osób. Nad wieczorem przejeżdżał się cesarz z cesarzową i odwiedzili słabą na febrę księżnę Łowicką w pałacu brylowskim; wysiedli przed bramą i udali się pieszo na pokoje. Zabawiwszy z godzinę poszli pieszo bez najmniejszej świty aż do zamku, otoczeni dokoła różnorodną publicznością; im dalej postępowali zwiększała się liczba ciekawych, mianowicie chłopaków ulicznych, żydostwa, kobiet, dzieci; cała ta zgraja odprowadziwszy do zamku, wykrzyknęła przy bramie: niech żyje!

Dnia tegoż zjechał od dworu Bawarskiego generał porucz. hr. Papenheim.

Między przybyłymi znajduje się w orszaku dworskim radca stanu Żukowski, znany z dzieł poetycznych ross.; jest on jednym z nauczycieli następcy tronu. Przybył też ks. Lobkowitz, szambelan dworu austrjackiego.

Cesarz postanowił, że pułk 2-gi strzelców konnych nosić będzie imię N. ces. i królowej Aleksandry.

Dnia 22 posłowie i deputowani z 7 województw złożyli swe uszanowanie W. Ks. Konstantemu. Rozmawiał z nimi dużo, był w dobrym humorze, między innemi oświadczył, aby się zachowali z przyzwoitością, że nie jest pora przedstawiania petycyj, że należy je odłożyć do sejmu itd. Nierozważna bowiem szlachta zamyślała podać petycją o cofnięcie artykułu dodatkowego do konstyt. o wolności druku, o przywróceniu rozwiązanej od lat kilku rady obywatelskiej wdztwa Kaliskiego i tym podobne. Dnia zaś poprzedniego sami posłowie z wdztwa Kaliskiego mieli posłuchanie u W. Ks., który dość długo z nimi rozmawiał, zalecając umiarkowanie.

Cesarzowa z przyjemnością przechadza się po Łazienkach; podobało się jej to miejsce, a mianowicie zieloność drzew i ta wielka różnica klimatu, jakoż piękna sprzyja pogoda i łagodne mamy powietrze. Następca zaś tronu zwiedza okolice miasta; po kilka razy dziennie widać go jadącego wierzchem, to w powozie. Ma sobie przydanego jednego z wyższych oficerów naszych, który daje mu objaśnienia, szczegóły o gmachach itd.

Policja wiele straciła na swej przewadze, a lubo widać jej dosyć po ulicy, ale ta nie jest ta sama co przed kilku dniami ją widzieliśmy, wyraźnie pobłaża i nie daje się we znaki. Pospólstwo wszędzie się ciśnie, na paradach jest pomieszane z generałami, w czasie czapstrzyku w zamku pełno jest na dziedzińcu.

Przez trzy dni heroldowie w tej samej paradzie i porządku, jak wyżej wzmiankowałem, objeżdżali miasto. Pociesznie było przysłuchiwać się co o nich lud mniema; tysiączne zdania i tłomaczenia, powszechnie zwano ich Herodami. Pierwszego dnia cisnęła się niewypowiedziane zgraja, dla dostania rozrzucanych proklamacyj o koronacji, w przekonaniu, że to są papierowe pieniądze, lub bilety na wejście do zamku i kościoła w dniu koronacji. Ubiór heroldów i cały orszak był dokładną kopją heroldów w czasie koronacji w Moskwie; tamten zaś był zupełnie na wzór angielski z czasu panującego teraz krola,

Dzień 24 stanie się pamiętny w dziełach naszego królestwa, dzień wielki, godność narodu w oczach świata podnoszący, wdzięcznością i nadziejami serca Polaków przejmujący. W tym to dniu Mikołaj I. dopełnił aktu, którego wielkiem powołaniem jest łączyć religijnie monarchę z narodem, czyli słowem, koronował się na krola polskiego. Piękny był widok kilkunastu tysięcy ludzi różnego wieku, płci i stanu skupionych na placu przedzamkowym, oraz 3000 dam razem zebranych na amfiteatrze od Podwala aż do ulicy Śto Jańskiej, wzniesionym na kilka kondygnacyj. Dziwić się należy odwadze siedzących na kominach, na szczycie domów, a mianowicie kobietom porządnie ubranym, z parasolkami w ręku, które już o godzinie 7 zajmowały dachy trzechpiętrowych kamienic. Od zamku do kościoła katedralnego stanęła we dwa szeregi po obu stronach pomostu gwardja ros. piesza, na pomoście zaś w pewnej odległości rozstawieni byli huzary i ułani gwardyi ross. Nowy także mieliśmy widok od lat wielu niepamiętany, to jest wspaniale udającego się Prymasa do katedry. Wyjechał z swego pałacu na Podwalu w pięknej karecie, ciągnionej przez cztery anglizowane konie, świeża i suta liberja stangretów, jakoteż i 4 lokai pieszo idących tuż przy kołach. Poprzedzał go kanonik (Ant. Kotowski, proboszcz Panny Marji) na koniu w komży, trzymając krzyż w ręku. Za Prymasem jechali wszyscy biskupi senatorowie. Do kościoła trzeba było mieć bilety i być ubranym w mundur; do sali zaś koronacyjnej tylko kilkudziesiąt damom za biletami na galerję wstęp był dozwolony. Insygnia niesione były do poświęcenia przez następujących: Order Orła Białego niósł wda Franciszek Grabowski, pieczęć król. minist. sekr. stanu generał Stefan Grabowski, chorągiew jenerał piechoty Izyd. Krasiński, miecz jenerał Ant. Hauke; płaszcz król. kasztelanowie: Sierakowski i Gliszczyński; kulę ziemską wda Czarnecki, berło wda ks. Czartoryski; koronę prezes senatu ordyn. Stan. Zamojski; przy każdym z nich szło po dwóch asystentów. Wszystko co do słowa odbyło się trybem przez programat wskazanym, tak dalece, że gdy Prymas potrójnym odgłosem *vivat rex in aeternum* zdawał się wzywać do okrzyku, głuche panowało milczenie, albowiem nie było wyrażone w programacie co mają na ów czas uczynić; rozumiano, iż ten vivat tylko Prymasowi był dozwolony. Cesarz odczytał modlitwę we francuskim języku, Prymas zaś rozczulony do łez w polskim języku zasyłał swe modły. Wielkie nader było uniesienie widzów, gdy Naj. Pan w koronie, w płaszczu król., mając w ręku berło i kulę ziemską, postępował ku świątyni nieco wyprzedzając baldachim niesiony przez 16 generałów brygady, tak pols. jak i ross., 8 zaś gener. dywizji unosiło kutasy. Obok cesarza szli obaj W. książęta, następnie cesarzowa, kilku szambelanów niosło ogon; za niemi księżna Łowicka z długim, bogatym, rozpuszczonym ogonem, trzymając za rękę następcę tronu, poczem kilka dam dworskich i dalszy orszak. Zaledwo tymże porządkiem wrócono do zamku, rzucił się lud na pomost okryty suknem pąsowem i w mgnieniu oka rozszarpał na kawałki, poczem przystąpiono ale z nieśmiałością zrazu do amfiteatru, ale uważając, że im nie zabraniają, również podzielono się suknem tam będącem, a niedosyć na tem, we dwie niespełna godziny rozebrano do szczętu całą budowę, tak, że i śladu nie pozostało. Nie obeszło się jednak bez mocnego pokaleczenia kilku ludzi, przy zawaleniu się ściany z desek.

Nastąpiła uczta u dworu na 130 osób obojej płci, żaden z posłów ziemskich nie był zaproszony, co też im jest nader boleśnie. W czasie obiadu artyści muzyczni pod dyrekcją kapelmistrza dworu Kurpińskiego, wykonali uwerturę i różne śpiewy. Sławny Paganini grał solo, jakoteż i pierwszy skrzypek dworu pols. Lipiński Karol.

Jeszcze za dnia zaczęto już oświecać miasto, tą razą nierównie piękniejsza i okazalsza była iluminacja. Kilka gmachów jaśniało wcale gustownie, inne mnogością lamp czarujący sprawiały widok. Cesarz z cesarzową przejeżdżali się otwartą karetą, a nieco później cesarz z W. Ks. Konstantym w koczu; lud okrzykami witał go radośnie. Natłok był niesłychany, na niektórch zaś ulicach przecisnąć się nie można było; dziwić się należy, że bez przypadków się obeszło, zwłaszcza gdy się pojazdy mijały. U ks. Zajączkowej był liczny wieczór tańcujący.

Przedwczora przybył od dworu Wirtemberskiego generał porucznik baron Szpicenberg.

Udzielone przez Naj. Pana łaski, nominacje i dekoracje są przedmiotetem powszechnym rozmów, później o nich doniosę. Najwięcej ich uczestnikami stali się wojskowi.

Dzień 26. Dnia wczorajszego był dany bal galowy u dworu, zaczęto się zjeżdżać o ósmej. Cesarz dla fluksji nie znajdował się, o godz. 9 cesarzowa rozpoczęła bal z W. Ks. Konstantym i tańcowała kilka polonezów. Wszystkie damy miały ogony u su-

kien, po kilkunastu polonezach o godz. 10tej zaczęto się rozjeżdżać. Nie roznoszono żadnych chłodników ani napojów, damom tylko dostało się po filiżance herbaty. Cesarz dla trwającej fluksyi nie był dzisiaj na paradzie.

Tegoż dnia w. mistrz obrzędów dawał wielki obiad dla zagranicznych osób i znakomitszych urzędników, u prezesa zaś rady administracyjnej liczny i świetny był wieczór. W czasie iluminacyi dnia tego formalna była krucyata na żydów, jak gdyby się zmówili chłopaki, po wszystkich ulicach czynili zasadzki i ćwiczyli żydostwo; niebezpieczeństwo było stawać w obronie smaganych. Przypadek zdarzył się, iż księdza wzięto za żyda i kilkanaście mu prętów wyliczono.

Dnia 27 urzędnicy i wojskowi składali Naj. Państwu swe życzenia z powodu koronacji. W tej zaś porze, to jest o g. 12ej następca tronu z swymi nauczycielami i kilku innymi urzędnikami dworu zwiedził bibliotekę przy uniw. i gabinety. Około godz. ósmej wieczorem składały damy swe życzenia N. Państwu. Tegoż dnia w teatrze narodowym i franc. dane były bezpłatne widowiska.

Mnóstwo ludu i wszelkiego stanu osób nawiedza plac przed Ujazdowskim lazaretem, gdzie przyrządzają stoły i różne widowiska w czasie uczty dla ludu dać się mającej. Wszystko jest gustownie i pięknie urządzone, po obu stronach od alei uszykowane są stoły w półkole, obite płótnem, po obu zaś stronach od pałacu wystawiono galerje architektury gotyckiej, każda na 1000 dam. W środku placu wznosi się rotunda na 13 gradusach; 16 kolumn korynckich utrzymuje kopułę, na niej orzeł polski, wewnątrz gzymsy ozdobione girlandami i orłami. Po całym placu symetrycznie urządzono obszerne namioty dla muzyki i tańców, huśtawki i karuzele, dwie fontanny w kształcie globów, na miód; 6 źródeł do czerpania piwa, 2 fontanny w kształcie kolumny, z których wino będzie wytryskiwać; są też amfiteatra na widowiska, maszty z chorągwiami.

Dnia 28 wyprawieni zostali do zagranicznych dworów z doniesieniem o koronacji, generałowie: Wincenty Krasiński do Wiednia, Stanisław Potocki do Berlina, Weyssenhof do Drezna, Monachium itd.

Dnia tego mieliśmy rzadkiej piękności widok, danej uczty dla ludu. Przed godz. 1-szą przybył cesarz i W. książęta konno, a cesarzowa w otwartej karecie, przyjęci przez prezydenta miasta, objechali cały plac i weszli do rotundy. Za danym znakiem lud przystąpił do stołów zastawionych misami z różnem mięsiwem. W mgnieniu oka je wypróżniono; nie tyle jednak zjedli jak chowali po kieszeniach i napełniali chustki. Zaledwie rozpoczęto widowiska gimnastyczne, gdy deszcz zaczął pokrapiać. Cesarz z całą świtą wsiadłszy na konia, powtóre objeżdżał, zatrzymując się między ludem, okrzyki radosne wydającym; wzmagająca się słota znagliła do odjechania. Tu dopiero powstał prawdziwy chaos, wszyscy kryli się pod drzewa lub w czwał śpieszyli do miasta, damy mianowicie wielką klęskę poniosły, wykwintne ich ubiory w niwecz się obróciły. Nad wieczorem zebrała się na placu znaczna liczba ludu, ściągnęła też z miasta niemała ilość za ustaniem deszczu i uraczali się pozostałemi napojami; widziano czerpiących trunki czapkami, kapeluszami.

Dzięki złożyć należy, iż wszystko spokojnie się odbyło, a chociażby i były po pijanemu jakie zwady, czyż do tego stopnia można było posuwać przezorność lub obawę, ażeby mówię ukryto za ogrodem botanicznym, za Belwederem i po salach lazaretowych kilka bataljonów piechoty z ostremi ładukomi i uszykowano kirysyerów w lasku łazienkowskim. Święcie ręczyć można, iż nic o tem cesarz nie wiedział, jak i o wielu innych tym podobnych wypadkach, które nas dręczą i jątrzą, a o których wspomnieć nie miło i dlatego wiele milczeniem pokrywam.

Wieczorem Najj. Państwo znajdowali się na balu danym przez miasto w głównym ratuszu.

Bal wczorajszy rozpoczął cesarz z księżną Łowicką, w drugiej parze postępował W. Ks. Konstanty z cesarzową. Cesarz oprócz polonezów nic więcej nie tańczył, cesarzowa zaś często walcowała, a nawet z różnemi osobami kilka figur w mazurze przetańcowała. Po wieczerzy odjechali N. Państwo około godz. pierwszej.

Od wigilji koronacji wzbroniony jest przystęp na dziedziniec zamkowy w czasie czapstrzyku. Nasz W. Ks. miał to zakazać z powodu, iż ktoś z obecnych podał w tej chwili prośbę cesarzowi. W istocie dziwić się należy natrętctwu podających prośby: nie dość im na tem, iż gener. Grabowski przyjmuje prośby i każdego dnia na paradzie jest adjutant służbowy odbierający pliki, ale znajdują się jeszcze tacy, którzy koniecznie samemu cesarzowi starają się wręczyć. Byłem świadkiem jak przed zaczęciem parady różne osoby, w osobliwszym sposobie doręczały adjutantowi prośby, i tak: porządnie ubrana dama przed jej podaniem uklękła, jakiś mężczyzna zbliżywszy się przeżegnał się, zdjął kapelusz i dopiero papier podał. Za nadjechaniem cesarza przedziera się przez tłum widzów odważna dama i wyciąga prośbę, lecz cesarz wskazał jej ręką na adjutanta. Wszystkie prosby odsyłają do rady stanu, gdzie w krótkości spisują ich treść. Mówiono mi, iż dotąd jest 7000 numerów, między niemi uparci Kaliszanie złożyli petycją o cofnięcie artykułu dodatkowego do konstytucji; tylko pięciu podpisało się na niej.

Rozprawia publiczność nad udzielonemi łaskami, nominacyami i dekoracjami; ani jej zdań nie powtórzę, gdyż byłoby to zawcześnie, ani wspomnę kto i jak udarowany został, nim nie będziem mieli urzędowego ogłoszenia. Podług rozkazu dziennego dowiadujemy się, iż pułkownicy: Milberg, Sałacki, Mroziński, Dwernicki, Tomicki i Szembek zostali generałami, ostatni pozostał nawet przy dowództwie pułku noszącego nazwę cesarskiego, inni zostali adjutantami przy cesarzu, gener. Stan. Potocki generałem piechoty, Krukowiecki dywizji, Kurnatowski dywizji gwardyi, adjutantem cesars. zachowując dowództwo pułku strzelców gwardji konnej itd. Hauke ma być obsypany zaszczytami, lecz o nim później.

Dnia 29 cesarz z bracią zwiedził arsenał i nader był zadowolony z onegoż urządzenia.

Dnia tegoż senat, posłowie i deputowani dali bal w sali giełdy banku pols. na 800 osob.

Dnia 30. Sala i przyległe pokoje na wczorajszym balu były świetnie, okazale i gustownie urządzone. Cesarzowa i tą razą dużo tańczyła, przy wieczerzy cesarstwo spełnili zdrowie reprezentacji narodowej, bawili się do w poł do drugiej.

Dnia dzisiejszego znajdowali się cesarstwo na mustrze jazdy. Wieczorem dany będzie bal u Zamojskiego.

Dnia 31 przybył drugi syn króla pruskiego Wilhelm i znajdował się na paradzie. Przy rozkazie zalecono oficerom, ażeby na dzisiejszym teatrze pols., na którym będą cesarstwo, nie dawali oklasków.

Dnia tegoż senat i posłowie znajdowali się na obiedzie w zamku.

Nie poważam się dochodzić przyczyny, a tem mniej wnioskować, z jakich powodów wzbronionem zostało wybicie medalów na pamiątkę koronacji. Wygotowane już były stęple i wszystko w pogotowiu, aliści mennica otrzymała rozkaz zakazujący. Medal wyobrażał z jednej strony popiersie Mikołaja I. z napisem dokoła dnia i roku koronacji na króla pols. odwrotna strona miała słup, na wierzchu którego księga praw i napis: wspaniałość nadała, wierność utwierdza.

Przed kilku dniami cesarz w towarzystwie jednego z generałów przechadzał się po tarasie zamkowym i zszedł aż na dół ogrodu ku Wiśle. Wtem chłopak wdziera się na sztachety, skacze z wysokości znacznej i rzuca się do nóg cesarza, który się go pyta: czego chce i czy ma prośbę podać? Nie, odpowiada śmiałek, oto założyłem się z tamtym chłopakiem, że zeskoczę i ucałuję nogi cesarza. Cesarz dobył kilka rubli i dał mu z uśmiechem.

Czerwiec. Dnia 2 teatr był świetny, loże zajęte przez gustownie postrojone damy, znajdowało się wielu urzędników dworskich w sutych mundurach i osoby ze świty cesarskiej. Wszystkich oczy zwrócone były na wielką lożę, aliści cesarzowa z księżną Łowicką i następcą tronu ukazała się w loży W. księcia tuż przy scenie. Cesarz znać, że chciał być incognito i zupełnie się nie ukazał przez cały czas sztuki, siedząc w głębi loży. Przyboczna loża zajęta była przez królewicza prusk. i dwóch W. Ks. Przed zaczęciem sztuki chodził po parterze vice-prezydent i zalecał, aby nie dawano oklasków. Nowa opera: Cecylja Piaseczyńska, utwór Dmuszewskiego, dość błahy, ale mający pełno śpiewek i wspomnień narodowych z muzyką Kurpińskiego, wydobywał kiedy niekiedy: to oklask, to tupanie, ale natychmiast sykaniem przytłumiony. Następcę tronu nader rozweselał organista i tańce krakowskie, zakończenie było zastosowane do N. Państwa; tu już publiczność nie mogąc wstrzymać swych przytłumionych uczuć, z zapałem wykrzykiwać poczęła, powstała cesarzowa i trzykrotnie pokłoniła się, poczem skinieniem ręki wezwała cesarza, którego ujrzawszy publiczność, wznowiła okrzyki.

Cesarzowa w towarzystwie Hr. Orłów i pani Zamojskiej zwiedziła niespodzianie szpital Dzieciątka Jezus, klasztor Sakramentek i instytut rządowy guwernantek, gdzie wypytując się o dawane nauki, z widoczną przyjemnością rozmawiała z pannami po niemiecku. Miała chęć i inne zwiedzić zakłady, ale przypomniawszy sobie, że będzie na obiedzie u W. Ks. Konstantego pośpieszyła do zamku dla przebrania się.

Dany był bal w zamku. Cesarz był ubrany w mundurze ułańskim ross., równie jak i na balu u Zamojskiego wraz z W. Ks. Konstantym.

Dzień 2. Cesarz na paradzie miał na sobie wstęgę orła czarnego, królewicz zaś pruski orła Białego. Następca tronu w mundurze grenadjerów gwardji polskiej, defilował na czele plutonu. Pierwszy raz widziano go w mundurze pieszym, zawsze bowiem przywdziewa mundur swego pułku. Jest w stopniu podporucznika.

O godzinie 1-szej cesarzowa wyjechała do Berlina, a z nią następca tronu i królewic pruski. Cesarz zaś pozostanie jeszcze czas niejaki u nas — nie pojedzie już do Wrocławia, gdzie się miał widzieć z królem pruskim, gdyż ten zachorował i pozostanie w Berlinie.

Nie wspomniałem o rozlicznych wieściach, tyczących się posłuchania ministrów w dniu przyjazdu cesarza, gdyż zkąd może być pewność co im monarcha mówił, jednakowoż po mieście przytaczano; a jak to zwykle bywa, każdy co innego. To tylko wiem z pewnością, że arcybiskup na audjencji czule cesarza powitał, zaręczył o wierności i wdzięczności narodu i polecał ojcowskiej pieczołowitości współrodaków swoich. Są przecież tacy, którzy z wszelką dokładnością mowę pasterza naszego przytaczają.

Dzień 4. O godzinie trzeciej z rana wyjechał cesarz w towarzystwie jednego z adjutantów. Nie wiemy dokąd się udał i na jak długi czas.

Od dni kilku mamy czas słotny, wietrzny, a powietrze do tego stopnia się oziębiło, iż bez płaszcza nie sposób na mieście się ukazać.

Dowiedzieliśmy się przecież, iż cesarz incognito do Berlina wyjechał, za tydzień ma być z powrotem. Chorągiew jednakowoż ciągle na zamku powiewa, jak gdyby cesarz pośród nas się znajdował. Gdy się wojskowi pytali gener. Kuruty dokąd Najj. Pan i na jak długo wyjechał, odpowiedział, iż nie wolno o tem mówić. Otóż nowe pole do wniosków dla tuzinkowych polityków.

Deputacja od Towarzystwa Przyj. N. złożona z dwunastu członków, mając na czele Niemcewicza, otrzymała posłuchanie u Naj. Pana i złożyła 20 tomów swoich roczników. Prezes dał do zrozumienia cesarzowi, iż prace ich drukiem ogłaszane, doznają wielu przeszkód ze strony cenzury.

Teraźniejszy generał Szembek znany powszechnie jako człowiek prawy, lubiony od podwładnych, zasłużył sobie jeszcze na większą cześć i poszanowanie przez następujący wypadek. Cesarz będąc jeszcze W. Ks. i jako szef 1go pułku strzelców pieszych, był nader na niego łaskaw, nie odmawia mu snać i teraz swych względów, gdy przed kilku dniami dozwolił mu prosić siebie o jaką chce łaskę. Generał mając tak przyjazną okoliczność jakże szlachetnie jej użył! nie o sobie pamiętał, ale błagał cesarza, aby dwaj byli oficerowie kapitan Grzybowski i porucznik Karger, służący w jego pułku jako prości żołnierze, przywróceni zostali do swych stopni. Na to cesarz: c'est la seule chose que je ne puis v. accordez. Mais adressez v. en cela au Gr. Duc mon fiere. Tu Szembek w przykrem był położeniu, przekładał, że nie poważa się z tą prośbą udać do W. Ks. Cesarza zaś uprasza jako przez niego ośmielony i upoważniony. Historja dwóch wspomnionych nieszczęśliwych jest bolesna. Byli oni przełożeni nad bramami twierdzy Zamościa. Zdarzyło się, iż trzech więźniów, podkopawszy się uciekło, za co destytuowano ich i skazano do kajdan. Po upływie czasu wyrokiem oznaczonego, zostali wypuszczeni, lecz widząc się bez sposobu do życia, podali prośbę do W. Ks., aby mogli wejść napowrót do służby. Zezwolono im, ale pod warunkiem, aby zaczęli zawód wojskowy od prostych żołnierzy. Już lat trzy upływa jak są pod karabinem.

Naj. Państwo byli zupełnie zadowoleni ze swego tu przyjęcia. Cesarzowa dała się kilkakrotnie słyszeć, że zupełnie miała odmienne mniemanie o Warszawie, że Polacy są uprzejmi, spokojni — j'avais tout á fait une autre opinion, są jej wyrazy. Okazuje się z tego, jak nas wystawiono!.. Szczęściem, istotnem szczęściem, iż przez cały ten czas wszystko spokojnie i bez najmniejszej zdrożności się odbyło, mimo ciągłego natłoku ciekawych i cisnącego się ludu. Gazeta berlińska opisując uroczystości tutejsze, wyraża, iż przypisują to zupełnemu oddaleniu wpływów żandarmerji i policji, zdala tylko nad porządkiem czuwającej.

O monarcho, królu nasz! chciej tylko nas z bliższego stanowiska poznać, a ujrzysz wdzięczne serca Polaków, oddal kilku zaciętych naszych nieprzyjaciół, niech oni przestaną nas jątrzyć a wszystko będzie dobrze. Taki jest odgłos powszechny, takie ogółu życzenia.

Przez postanowienie Naj. Pana wydane w dniu koronacji, mianowani zostali w. podkomorzym (Grand Chambelan) ks. Czartoryski sen. wojewoda. w. mistrzem dworu, Maks. ks. Jabłonowski, wojewoda. Mistrzami dworu Józef Krasiński, szambelan i Michał Dierzbicki, szambelan. Koniuszym dworu Wacław Gutakowski były pułkownik gwardji. Przybyło też dziewięciu nowych szambelanów i jedynastu kamerjunkrów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Koncert Towarzystwa muzycznego.

Jedno z najpiękniejszych, najjednoliciej skomponowanych dzieł Mendelssohna usłyszeliśmy tym razem w wykonaniu wcale poprawnem.

Wypada nam tutaj naturalnie powtórzyć owo znane Wagnerowskie „So weit die vorhandenen Kräfte reichen,“ gdyż niepodobna mierzyć naszych krakowskich produkcyj miarą lipskiego Gewandhausu lub instytutu filharmonicznego w Wiedniu.

W braku sił dobrych trzeba się kontentować miernemi, nie mając artystów trzeba słuchać dyletantów, a wierzącym pozostaje jeszcze błoga nadzieja, iż kiedyś w przyszłości lepiej być może...

Były w onej pierwszej nocy św. Walpurgi liczne ustępy, których wykonanie przy dłuższem i staranniejszem studjowaniu nawet w Krakowie lepiejby wypaść powinno, wspomnę tylko o uwerturze pozbawionej przez dyrygenta wszelkich akcentów i jasności rytmicznej, były usterki, niedokładności i braki zarówno w chórze jak i w instrumentach, mimo tego całość wyszła dosyć gładko i potoczysto. Pan Fiszer odśpiewał partję barytonową z głębokiem przejęciem i doskonałem zrozumieniem kompozycji, jak się tego po tak rutynowanym a oddawna już w mieście naszem zaszczytnie znanym śpiewaku, z góry spodziewać można. Młody tenorzysta pan P., który tego wieczoru po raz pierwszy jako solista wystąpił, posiada głos nadzwyczaj miękki i dźwięczny, intonuje czyściutko i wiele ma ciepła w ekspressji. Partję basową odśpiewał pan P. amator, wcale udatnie, czego znowu o alcie, pannie Leszczyc Radolińskiej, absolutnie powiedzieć nie można. Z pewną przykrością musimy wyznać, iż zdania naszego wypowiedzianego w jednym z poprzednich numerów Przeglądu, a dotyczącego pierwszego występu panny Leszczyc Radolińskiej, i tym razem w niczem zmienić nie możemy.

Pan Singer zapoznał nas z pięknym koncertem Gadego i wykonał go świetnie. Orkiestra pod kierunkiem pana Wrońskiego trzymała się dobrze, chociaż w pierwszej części koncertu nieco przygłuszała solistę.

Jan Gall.

ROZMAITOŚCI.

(P) Emil Zola pilnie odbywa studja do swych naturalizmem przesiąkłych utworów. Kiedy zajęty był swoją „Naną,“ jeden z przyjaciół musiał go zaprowadzić do mieszkania jednej z głośniejszych paryzkich kokotek. W mieszkaniu, naturalnie w jej nieobecności, obejrzał najdrobniejsze szczegóły wykwintnego urządzenia. Niezawsze jednakże wychodził cało z tych obserwacyj. Pisząc „Le ventre des Paris“ dłuższy czas przechodził się po targach i przypatrywał mamom Angot i im podobnym. Straganiarki z niedowierzaniem spoglądały na intruza spacerującego w wytartym tużurku. Podejrzywały go o zamiar przywłaszczenia jakiego ogórka, lub podobnego specjału. Raz nawet przez nie oskarżony i zaaresztowany musiał pomaszerować do komisjoratu, gdzie się natychmiast wytłomaczył. Pewnego znowu razu wyszedł na dach „Halles centrales,“ wtedy wzięto go za warjata.

(W) Afisz teatralny pragski z r. 1778.

Uwiadomienie niemieckiego teatru
do wysokiej i łaskawej szlachty
i wielce szanownej publiczności.
Jutro we czwartek 10 września 1778 w król. teatrze p. Józeta Bu
teili będzie miało zaszczyt
Towarzystwo aktorów niemieckich Brunn'a
po raz pierwszy przedstawić
Zbiór wesołości
komedję zupełnie nową i nigdy tutaj niewidzianą
przez niewiadomego autora.
Avertissement.

Gdyby nasi szanowni widzowie tak bardzo się śmiali, jak my prz czytaniu tej sztuki — toby sami przyznali, że nigdy nie widzieli taki do śmiechu sztuki. Nie jeden śmieje się z czegoś, co dwudziestu inny raczej pobudziło by do łez — a dwudziestu nię tak łatwo pobudz do wesołości. A jeżeli słusznem jest twierdzenie, że ten jest błazne kto się śmieje bez powodu, to musimy otwarcie siebie do nich zaliczy —chociaż nie przyznajemy się wcale do tego, aby śmiech nasz był be przyczyny. Ale żart na stronę. Cała ta sztuka jest jedna z najsubte niejszych i najbardziej ożywionych satyr, jakie kiedykolwiek dla scen napisano.

Satyr? Na kogo? Na rozmaite rodzaje ludzi, którzy na wielki błąkają się świecie, a których z góry wymieniać nie chcemy, ażeby n szym widzom tem większą sprawić niespodziankę i przyjemność.

Słowem, jest to doskonała komedja, która odznacza się nietylk charakterystyką, łatwością dialogu i pomysłem, ale żeby nie wiele m wić — zasługuje na jak najliczniejsze zebranie publiki. Przyjdźcie n tylko, a nie pożałujecie ani pieniędzy, ani czasu. Na honor!

Nagrobek urzędnikowi.

Wielka była polityka
Tego pana urzędnika:
Nie dał zgorszenia nikomu,
Bo kradł zawsze pokryjomu.

(Z Momus

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— Wyszedł Nr. 1. *Przyjaciela sztuki kościelnej*, organu Towarzystw św. Łukasza w Krakowie i przedstawia się wcale dobrze. Po wstępnem sło wie „od Redakcji“ (prof. Łuszczkiewicz, X. Eustachy Skrochowski, pro M. Sokołowski, i Dr. fil. St. Tomkowicz) znajdujemy „Legendę o św. Łuk szu“ przez M. Sokołowskiego; „O drogach do podniesienia sztuki kościeln w naszym kraju“ prof. Łuszczkiewicza, rzecz o działalności Towarzystwa ś Łukasza i kronikę.

— *Ateneum* londyńskie umieściło w ostatnim zeszycie obszerny prz gląd ruchu literackiego u nas. Szczególniej obrobiony dział historyczny i p wieściowy. W ogóle od jakiegoś czasu poczynają się Anglicy więcej na interesować.

— „*Biblioteki Warszawskiej*„ zeszyt 1-szy z r. b. nader urozmaico zawiera części pięknego przekładu Sofoklesa „Elektry“ pióra znanego tłóm cza K. Kaszewskiego; Kronikę z pod Wawelu przez N.... No.....; O kieru kach nowszej literatury polskiej Wł. Nehringa; Kronikę paryzką znanej a torki; Przegląd piśmienniczy nowości literackich i naukowych.

— Powieściopisarka francuska p. *T. Bentzon* wydała nową powie p. t. *Le Retour* (Powrót) jedną z najlepszych współcześnie wydanych.

— W Cassel wydają Niemcy czasopismo p. t. *Gallia* poświęcone języ kowi i literaturze francuzkiej, obejmujące nawet sprawozdanie z dzieł ni mieckich osnutych na temacie francuskim. Czy to zwrot, czy tylko niemieck skrupulatność!?

— Znana firma księgarska Didota w Paryżu wydała znakomite dzie p. t. *Paris à travers les siecles* (Paryż w szeregu wieków).

TREŚĆ Nru 2go Wojciech Zapała, nowella M. Konopnickiej Moja łódk tłom. z Berangera L. Kozłowski. Szkice etnograficzne, Pogrzeby prz Fr. Ks. Mroczkę (c. d.) Podróż, tłom. z Beranger'a L. Kozłows Zachód słońca, nowella Franciszka Coppée. Honor domu, nowella Coppée. Zapiski Tymoteusza Lipińskiego (ciąg dalszy). Przegląd art styczny: koncert Towarzystwa muzycznego przez Jana Galla. Rozm tości. Drobne wiadomości literackie i artystyczne.
ODCINEK: Kronika przez K. B.

Do dzisiejszego Nru dołącza się rysunek W. Nawrockiego Zadumana.